

Ajent policyjny.

Powieść na tle stosunków amerykańskich.

Przełożył z angielskiego Joter.

7

Dokończenie.

— Co to ma znaczyć?! — Hahaha! — To, żeśmy teraz kolegami, pan i ja!

Sina twarz bankiera pokryła się znowu trupią białością. Przecież to, co ten człowiek mówił, było prawdą, straszliwą prawdą! W tej sekundzie ujrzał przed oczyma cały ciężar i wielkość swej zbrodni. Coby on teraz dał za to, żeby się mógł pozbyć na zawsze tego człowieka, który czuł swoją nad nim przewagę i jak się zdawało, miał zamiar wykorzystać ją, o ile się da.

— Ileż pan żąda za to, abyśmy raz na zawsze byli ze sobą pogodzeni — spytał w końcu Robertson.

— Natychmiastowej wypłaty nie tylko przyrzeczonych pięciu tysięcy dolarów, ale dziesięciu tysięcy ponadto.

— Któż mi jednak zareczy za to, że pan mnie więcej nie będziesz nachodził, jeśli panu teraz zapłacę. Mówię to otwarcie; ja już znam ludzi, takich jak pan.

— Proszę, proszę. Takich jak ja! Pan jesteś taki sam! Ale do rzeczy.

Robertson zachnął się, ale słuchał dalej.

— Jeśli panu chodzi o porękę, to niech będzie nią moja głowa. Ja sam ręczę za siebie.

Robertson wpatrzył się weń przesywającym wzrokiem.

— Tak jest. Człowiek, mający tyle na karku, co ja, nie zaniedba najmniejszej sposobności do ucieczki. Cóż pan myśli? Dla mnie każdy dzień, każda godzina jest drogą. Albo ja wiem, czy, gdy stąd wyjdę, nie dostanę się odrazu w ręce choćby takiej pani Brown?

— Rozumiem.

— A więc. Niech ja jeno dostanę pieniądze, to czmycham stąd natychmiast, żeby się tutaj już nigdy nie pokazać. Zrobię to w swoim własnym interesie, a to może być dla pana najpewniejszą rękojmią.

— Chwilowo jednak nie mam gotówki więcej, jak trzy tysiące dolarów — ozwał się Robertson.

— Mniejsza o to. W takim razie resztę, to jest siedm tysięcy, zabiorę w papierach — odparł Mac Guire obojętnie.

— No tak, ale... Wolałbym inaczej.

— Mianowicie?

— Niechże pan przyjdzie jutro, a dam panu całą kwotę w gotówce.

— Nie mogę.

— Dlaczego? Przecież przez kilka godzin możesz się pan jeszcze obejść bez pieniędzy.

— Nie mogę, a po drugie nie chcę. Bóg raczy wiedzieć, czy ja jutro nie będę pod kluczem. W naszych stosunkach nie można nigdy nic przewidzieć. Musimy sposobność brać za łeb — ale niema co dużo gadać. Pieniądze muszę dostać w tej chwili, w gotówce czy w papierach — to mi obojętne. Zresztą ja także nie mam żadnej rękojmi, abym panu mógł wierzyć do jutra.

Bankier zaciskał zęby z wściekłości. Widział, że niema dlań wyjścia, postanowił więc przynajmniej jak najprędzej pozbyć się tego człowieka.

— Gdzie pan chce wyjechać? — zapytał, przerywając głucho milczenie.

— Do Brazylii.

Robertson odszedł do przyległego pokoju i zamknął drzwi za sobą.

Mac Guire, a raczej Marya Golling, podeszła ku drzwiom, przez które wyszedł bankier, pochyliła się nad zamkiem i spojrzała w głąb drugiego pokoju. Promień radości rozjaśnił jej oblicze. Naraz wyjęła z kieszeni jakiś specjalnie skonstruowany przyrząd, włożyła go w dziurkę od klucza i zaczęła obserwować przez umieszczone w nim szklą powiększające wszystko to, co działo się za drzwiami.

Po chwili przebrany Szkot schował przyrząd do kieszeni i z tryumfującą miną odszedł w przeciwną stronę salonu, oczekując spokojnie powrotu bankiera.

Wreszcie drzwi się otworzyły i Robertson wszedł znowu do salonu. W ręku trzymał paczkę papierów wartościowych.

— Proszę pana, panie Guire, niechże pan tu przyjdzie bliżej.

Szkot jednym susem znalazł się tuż przy nim.

— Więc jeśli panu wręcę dziesięć tysięcy dolarów, pan opuści natychmiast Nowy Jork?

— Tak jest.

— Przysięgnie mi pan na to?

Szkot wybuchnął głośnym śmiechem.

— Jak gdyby przysięga takiego łotra, jak ja, mogła mieć dla pana jakiegokolwiek znaczenie! — rzekł, śmiejąc się ciągle i patrząc bankierowi wyzywająco w oczy.

— Przysięgnij pan, powiadam — krzyknął Robertson.

— Nie przysięgnę!

— To ja panu nie dam pieniędzy!

— Owszem, zatrzymaj je pan dla siebie. Znam mnóstwo rzeczy, za które mi znakomicie zapłacą, jeśli je opowiem na właściwym miejscu. Ale nie wiem, czy to się panu opłaci.

Twarcz Robertsona zaczęła drgać z gniewu, ale z poza zacisniętych warg nie wydarł mu się najmniejszy syk nawet.

— Bierz pan zresztą pieniądze i papiery! Liczę na to, że pan masz powody ku temu, aby czmychnąć z Nowego Jorku jak najprędzej.

Mac Guire wziął papiery, przeliczył je i podziękowawszy, wyszedł.

Służący przeprowadził go przez ogród aż ku bramie wjazdowej, poczem Mac Guire znikł w ciemnościach nocy.

Nie upłynęła jeszcze może nawet godzina, kiedy Marya Golling, zawsze jeszcze przebrana za Mac Guirea, wkradła się z powrotem do willi bankiera. Drzwi pootwierała zapomocą podrobionych kluczków i wytrychów, poczem cichutko przebiegła przez kurytarz, aż doszła do salonu, który przed chwilą opuściła. Otworzyła drzwi także zapomocą wytrychów i stanęła znowu w tem samym miejscu, gdzie przed chwilą wiodła taką ożywioną rozmowę z bankierem.

Drzwi do sypialni Robertsona, to znaczy do przyległego pokoju, z którego bankier przyniósł jej niedawno pieniądze i papiery, stały otworem. Naokół panowała nieprzebita ciemność, spotęgowana jeszcze przez to, że we wszystkich oknach spuszczone były gęste story. Bankier widocznie spał smacznie, kołysany zapewne błogą nadzieją, że pozbył się swego najzaciętszego wroga i niemniej niebezpiecznego sojusznika.

Marya odetchnęła z ulgą.

Zdjęła z nog trzewiki, potem cicho i ostrożnie podeszła do łóżka, na którym spał Robertson i zarzuciła zrećnie śpiącemu na twarz chusteczkę, napojoną chloroformem. W końcu zapaliła słepą latarkę i ustawiła ją tak, że światło jej padało w całej pełni wprost na wspaniały, rozciągnięty na podłodze dywan perski.

Marya skierowała teraz całą swą uwagę na ów dywan. Podeszła ku niemu, odsunęła go nieco i wyżejwszy wzrok, zaczęła uważnie szukać po pozornie równej parkietowej podłodze. Oczyma jednak nie zdołała widocznie niczego odnaleźć, bo ukłękła i białą dłonią zaczęła przesuwając po wskazywanych parkietach, aż wreszcie odkryła maleńkie wzniesienie, zaledwie widoczny guzik.

— Więc to tutaj! — szepnęła uradowana.

Pocisnęła guzik końcem nożyka przy scyzoryku i w tej chwili z podłogi podniosła się listwa, odkrywając potajemną skrytkę.

Marya przysunęła bliżej latarkę i błogi uśmiech rozjaśnił jej oblicze, kiedy szepnęła:

— Nareszcie! Nareszcie!

Włożyła rękę w otwór podłogi i wyjęła zeń plik wartościowych papierów. Przyjrzała się im bliżej — były te same, za którymi od tak dawna szukała, narażając przytem niejednokrotnie własne życie na niebezpieczeństwo.

— Henryku! Jesteś uratowany! — szepnęła, przyciskając ręką falującą ze wzruszenia pierś.

Przez kilka chwil klęczała tak na podłodze, w błogiem pograżona rozmyślaniu. Przed oczyma widziała Wilberta, wychodzącego z więzienia, rzucającego jej się do rąk ze słowami serdecznej, gorącej podzięką za uratowanie życia i honoru. A potem przesunął się znowu czarowny obraz w duszy — zdało jej się, że czuje na szyi ramię Wilberta, że usta jego ust jej dotykają — wzdygnęła się...

Oprzytomniała.

— Niema czasu do stracenia! — rzekła do siebie, zamykając na nowo skrytkę w podłodze i przykrywając ją dywanem. Papiery schowała starannie do kieszeni, potem zdjęła chusteczkę z twarzy śpiącego i oddaliła się równie cicho, jak była przyszła.

A Robertson spał spokojnie, śniąc zapewne o pieśczętach nadobnej Julii, w której objęciach miał spędzić resztę dni życia w szczęściu i radości, niezmąconej żadną chmurką. Mac Guire — według jego przekonania — nie był już dlań nie-

bezpiecznym, dziewczyna, której się najbardziej obawiał, gniła już zapewne w nurtach wody.

* * *

Ranek wzeszedł blady, jakby w mgłę spowity. Słońce błyszczało poprzez szare chmury niby matowa latarnia, zawieszona wśród oprędliny pajęcznej.

Robertson zbudził się późno. Głowa ciążyła mu kamieniem, oczy, jakby napuchłe, zasłonięte były chmurą senną, że nawet przedmiotów pokoju rozpoznać nie mógł.

Podniósł się, usiadł na łóżku tak ociężały, że nie mógł przejść się nawet po pokoju. I siedział tak, pół śpiąc, pół drzemiąc, aż obudził go hałas i turkot wozów na ulicy.

Podszedł do okna, podniósł storę, przeciągnął się, przetarł oczy i zaczął bezmyślnie wyglądać na ulicę, na której już zaczynał wrzeć codzienny ruch.

Chciał zadzwonić na służącego, ale ręka odmówiła mu posłuszeństwa i opadła bezwładnie. Usiadł więc w wygodnym fotelu i trąc czoło dłonią, szepnął:

— Co to jest? Co mi się stało?

Miał wrażenie, jakby mu kto obuchem dał w głowę. Wszystko kręciło mu się przed oczyma, a mózg gorzał, jakby w nim setki płonących języków się żarło, przeskakiwało z jednego nerwu na drugi, paląc się wzajem i nie dopuszczając do powstania jakiegokolwiek logicznej myśli.

Naraz, jakby piorun w niego uderzył, zerwał się i szybko poszedł na miejsce, gdzie ukrywał swoje skarby. Nerwowym ruchem odsunął dywan, przycisnął znany sobie dobrze guzik, ale zatoczył się, jak pijany, kiedy zobaczył, że w głębi skrytki papierów niema. Przez chwilę dech mu w pierśsiach zaparło, tak, że był bliski omdlenia, wreszcie odzyskał napowrót przytomność, spojrzał raz jeszcze do skrytki, poczem zerwał się jak oparzony i zaczął biegać po pokoju.

Oczyma duszy poznał dopiero teraz przepaść, w jaką się stoczył, poznał całą grozę i ohydę swego postępków. Czuł teraz doskonale, że jedynym dlań ratunkiem może być jeno śmierć.

Jeżeli złodziej puści te pieniądze w kurs — myślał — to policya, mając tak szczywanym, jak owa pokojówka, agentów, wcześniej czy później go dostanie w swe ręce. A zbrodniarz nie będzie miał przeciw ochoty poświęcać się za niego. W takim razie, cóż jego czekało? Więzienie, hańba, utrata stanowiska i najboleśniejsza dla serca utrata Julii, dla której przeciw jedynie stał się sam zbrodniarzem.

Tak go te myśli zajęły, że nie myślał nawet z początku, kto mógł być skraść te papiery. Dopiero kiedy sobie dokładnie przypomniał wszystko, co zaszło poprzedniego wieczora, domyślił się rzeczywiście. Podejrzanie jego padło odrazu na Mac Guire'a.

— Przeklęty Szkot! — zaklął zrozpaczony, poczem znowu usiadł na krześle i ukrywając twarz w dłoniach, zaczął obmyślać środki, w jaki sposób mógłby jeszcze odzyskać pieniądze, choćby nie wszystkie, ale część jakąś.

Nadarmo jednak suszył sobie głowę. Nowego nic nie mógł wymyśleć. Ostatecznie musiał sam sobie przyznać w duchu, że wszystko stracone bezpowrotnie. Jakże złodziej miał się czepiać drugiego złodzieja, jeśli nie chciał wydać siebie samego?

Chciał iść do Julii i jej się o radę zapytać, ale zabrakło mu sił. Siedział więc z godzinę w fotelu bez ruchu, jakby martwy, potem zaczął nagle jak zwaryowany gonić po pokoju, nie mogąc ani nic robić, ani logicznie myśleć.

* * *

Marya Golling, odzyskawszy papiery, w tem przebraniu, w jakim była, udała się natychmiast do inspektora.

Dyrektor Jung siedział właśnie w swoim gabinecie, rozważając szczegóły jakiejś nowej zbrodni, kiedy nagle usłyszał lekkie pukanie do drzwi.

Trochę zły i niezadowolony z tego, że mu przerwano myśli, zawołał jednak „proszę“! wiedząc, że jeżeli kogo dopuszczono aż do niego, to sprawa musi być już bardzo poważna.

Zdziwił się więc nie mało, kiedy na progu, w drzwiach, zobaczył chudego fircyka, z figlarnie podkreślonym wąsikiem, stojącego bez ruchu, jakby jakie półdyable.

— Mac Guire! — zawołał. — Skąd pan się tu wziął?

I dyrektor już trzymał rękę przy dzwonku elektrycznym, chcąc zadzwonić na żołnierza. Wstrzymał się jednak, kiedy w odpowiedzi usłyszał cichym głosem wypowiedziane miękkie słowa: